



## Proszę przestać zabijać mi kozła!

Lekcja do zapamiętania: jeśli zaprosisz walkirię na kawę, będziesz musiał zapłacić rachunek, a na dokładkę dostaniesz truposza.

Nie widziałem się z Samirą al-Abbas od sześciu tygodni, więc kiedy ni stąd, ni zowąd zadzwoniła do mnie i powiedziała, że musimy pogadać, że to sprawa życia i śmierci, od razu się zgodziłem.

(Formalnie już jestem nieżywy, więc ta cała sprawa życia i śmierci nie bardzo mnie dotyczy, ale mimo wszystko... W głosie Sam słychać było niepokój).

Kiedy dotarłem do kawiarni Thinking Cup przy Newbury Street, Samiry jeszcze nie było. W środku kłębił się jak zwykle tłum, więc stanąłem w kolejce po kawę. Kilka sekund później Sam wleciała (dosłownie!) do środka nad głowami klientów.

Nikt nawet okiem nie mrugnął. Zwykli śmiertelnicy nie zauważają magii, i bardzo dobrze, bo w przeciwnym razie bostończycy spędzaliby większość czasu, uciekając w panice przed olbrzymami, trollami, ogrami i einherjarami trzymającymi topór w jednej ręce, a kubek latte w drugiej.

Sam wylądowała obok mnie. Miała na sobie szkolny strój: białe adidasy, spodnie w kolorze khaki i granatową bluzkę

z długimi rękawami, ozdobioną logo King Academy. Włosy zakrywał jej zielony hidżab, a u pasa zwisał topór. Byłem prawie pewien, że topór nie jest typowym elementem szkolnego stroju.

Bardzo się ucieszyłem na jej widok, zauważyłem jednak, że miała mocniej niż zwykle podkrążone oczy, a do tego chwiała się na nogach.

– Cześć – powiedziałem. – Wyglądasz okropnie.

– Też się cieszę, że cię widzę, Magnus.

– Nie, nie chodziło mi o to... Nie wyglądasz okropnie w sensie „inaczej niż zwykle”. Okropnie, czyli jakbyś była okropnie wykonńczona.

– Podać ci łopatę, żebyś mógł wkopać się jeszcze bardziej?

Uniosłem ręce na znak, że się poddam.

– Gdzie się podziewałaś przez półtora miesiąca?

Wzdrygnęła się.

– Przywalała mnie robota w tym semestrze, ledwo żyję. Po szkole daję korki dzieciakom. Dodatkowo, jak może pamiętasz, mam pracę na niepełny etat: odprowadzam dusze zmarłych bohaterów i wykonuję tajne misje dla Odyna.

– Och, te dzisiejsze dzieciaki z napiętym harmonogramem...

– A oprócz tego... jest jeszcze szkoła lotnicza.

– Szkoła lotnicza? – Przesunęliśmy się trochę do przodu razem z kolejką. – Z samolotami? – Wiedziałem, że Sam chce kiedyś zostać zawodowym pilotem, ale nie miałem pojęcia, że już zaczęła się tego uczyć. – Można to robić już w wieku szesnastu lat?

Jej oczy aż błyszczały z podniecenia.

– Dziadków nigdy by na to nie było stać, ale Fadlanowie mają znajomego, który prowadzi taką szkołę. Przekonali w końcu Jida i Bibi...

– Aha. – Uśmiechnąłem się. – Czyli lekcje latania są prezentem od Amira.

Sam zarumieniła się. Była jedyną znaną mi nastolatką, która miała prawdziwego narzeczonego, i było wprost urocze, jaka zakłopotana się robiła, kiedy mówiła o Amirze Fadlanie.

– Te lekcje to naprawdę najbardziej przemyślany, najbardziej taktowny... – Westchnęła z rozmarzeniem. – Ale dość o tym. Nie umówiłam się z tobą, żeby rozmawiać o moim planie zająć. Musimy się spotkać z informatorem.

– Z informatorem?

– To może być przełom, na który czekałam. Jeśli ma dobre informacje...

Zabrzączał jej telefon. Wyjęła go z kieszeni, zerknęła na ekran i zakłęła.

– Muszę iść.

– Ale dopiero przyszłaś.

– Sprawy walkirii. Potencjalny kod trzy osiem jeden: heroiczna śmierć w toku.

– Wymyśliłaś to na poczekaniu.

– Wcale nie.

– No więc... jak to jest? Ktoś myśli, że zaraz umrze, i pisze do ciebie esemesa: „Umieram! Pilnie potrzebna walkiria!”, po czym wkleja serię smutnych emotek?

– O ile pamiętam, również twoją duszę zabrałam do Walhalli, a nie musiałeś pisać do mnie żadnych esemesów.

– Nie, ale ja jestem wyjątkowy.

– Po prostu zajmij stolik na zewnątrz – powiedziała – i spotkaj się z informatorem, a ja wrócę tak szybko, jak będę mogła.

– Nie wiem przecież, jak on wygląda.

– Rozpoznasz go, kiedy go zobaczysz – zapewniła Sam. – Odwagi. I weź mi ciastko.

Po czym wyleciała z kawiarni niczym Supermużułmanka, zostawiając mi do zapłacenia cały rachunek.

\* \* \*

Kupiłem dwie duże kawy i dwa ciastka i znalazłem wolny stolik na zewnątrz.

W tym roku wiosna wcześniej zawitała do Bostonu. Płaty brudnego śniegu nadal zalegały na poboczach niczym kamień nazębny, ale wiśnie już okryły się białoróżowymi pąkami. W witrynach luksusowych butików rozkwitły pastelowe, wzorzyste ubrania. Turyści spacerowali po mieście, ciesząc się słońcem.

Siedziałem tak sobie wygodnie przed kawiarnią w świeżo wypranych dżinsach, koszulce i katanie i właśnie wtedy dotarło do mnie, że to pierwsza wiosna od trzech lat, kiedy nie byłem bezdomny.

Rok temu w marcu grzebałem w śmietnikach. Spałem pod mostem w parku Public Garden, wałęsałem się z kumplami – Hearthem i Blitzenem, unikałem glin i po prostu starałem się przetrwać. A potem, dwa miesiące temu, umarłem w walce z ognistym olbrzymem. I zbudziłem się w hotelu Walhalla jako jeden z einherjarów – wojowników Odyna.

Teraz miałem czyste ubranie. Codziennie brałem prysznic. Spałem co noc w wygodnym łóżku. Mogłem siedzieć przy kawiarnianym stoliku, jedząc coś, za co sam zapłaciłem, i nie musiałem się zastanawiać niespokojnie, kiedy wyrzuci mnie stąd personel.

Od kiedy ponownie się narodziłem, przyzwyczailem się do wielu dziwnych rzeczy. Podróżowałem przez dziewięć światów, miałem okazję spotkać bogów nordyckich, elfy, krasnoludy i całe tłumy potworów, których nazw nie byłem w stanie wymówić. Załatwiłem sobie magiczny miecz, który wisiał teraz na mojej szyi, zamieniony w wisiorek w postaci kamienia runicznego. Odbyłem nawet niezwykłą rozmowę z moją kuzynką Annabeth o greckich bogach, którzy szwendają się po Nowym

Jorku i utrudniają jej życie. Jak widać, w Stanach aż roi się od starożytnych bogów. Mamy prawdziwą boską inwazję.

Jakoś udało mi się przejść nad tym wszystkim do porządku dziennego.

Ale siedzieć sobie w Bostonie w ładny wiosenny dzień jak zwykły żywy nastolatek – to dopiero było dziwne uczucie.

Wpatrzyłem się w tłum pieszych, szukając informatora Sam. „Rozpoznasz go, kiedy go zobaczysz”, powiedziała. Byłem ciekaw, jakie informacje mógł mieć ten gość i dlaczego Sam uważała, że to sprawa życia i śmierci.

Zatrzymałem wzrok na sklepie na końcu szeregu budynków. Błyszczący srebrno-mosiężny szyld nad drzwiami nadal dumnie głosił: „BLITZEN’S BEST”, ale sklep był zamknięty. Szyba w drzwiach była oklejona od środka papierem, na którym ktoś nabazgrał czerwonym flamastrem: „Zamknięte na czas remontu. Zapraszamy niebawem!”.

Chciałem zapytać o to Samirę. Nie miałem pojęcia, czemu mój stary kumpel Blitz tak nagle zniknął. Kilka tygodni temu przechodziłem tędy i zobaczyłem, że drzwi są zatrzasknięte na głucho. Od tego czasu Blitzen i Hearthstone nie dali o sobie znać, a to nie było do nich podobne.

Tak się pogрузyłem w tych rozmyślaniach, że informatora zauważyłem niemal dopiero wtedy, kiedy stał tuż przede mną. Ale Sam miała rację – cokolwiek się wyróżniał. W końcu na co dzień raczej nie widuje się kozłów w płaszczach.

Na głowie miał kapelusz z szerokim rondem, wciśnięty między zakrzywione rogi. Pysk zdobiły mu okulary przeciwsłoneczne. Trench zaczepiał mu się o tylne kopyta.

Pomimo tego sprytnego przebrania rozpoznałem go od razu. Zabiłem przecież i zjadłem w innym świecie tego właśnie kozła – to wspólne doświadczenie z gatunku tych, które zapadają głęboko w pamięć.

– Otis – powiedziałem.

– Ciii... Jestem tutaj incognito. Nazywaj mnie... Otis.

– Nie jestem pewien, czy tak właśnie działa bycie incognito, ale nie ma sprawy.

Otis, pseudo Otis, wspiął się na krzesło, które zostawiłem dla Sam. Usiadł na zadzie, a przednie racice położył na stoliku.

– Gdzie jest walkiria? Ona też jest incognito?

Zerknął na torebkę z ciastkiem, jakby Sam kryła się w środku.

– Samira musiała pójść po jakąś duszę – wyjaśniłem. – Niedługo wróci.

– Cóż, pewnie miło jest mieć cel w życiu – westchnął Otis.

– No dobra, dzięki za jedzenie.

– Ej, to nie dla...

Otis złapał torebkę z ciastkiem dla Sam i zaczął je pałaszować – razem z opakowaniem.

Starsza para przy stoliku obok spojrzała na mojego koźlego kumpla i uśmiechnęła się. Może ich śmiertelne zmysły uznały, że to urocze dziecko albo zabawny pies.

– No więc... – Patrzenie, jak Otis je ciastko, rozsypując okruszki na klapach płaszcza, sprawiało mi ból. – Podobno chciałeś nam coś powiedzieć?

Otis beknął.

– Chodzi o mojego pana.

– Thora.

Wzdrygnął się.

– Tak.

Gdybym to ja pracował dla boga burz, również wzdrygałbym się, słysząc jego imię. Otis i jego brat Marvin ciągnęli rydwan Thora. Stanowili dla niego również niewyczerpane źródło koźlego mięsa. Każdego wieczoru Thor zabijał ich i zjadał na kolację, a każdego poranka wskrzeszał. Właśnie dlatego powinniście iść na studia, ludzie – żebyście nie musieli kiedyś pracować jako magiczny kozioł.

– Mam w końcu trop – powiedział Otis. – Dotyczy pewnej rzeczy, która zaginęła mojemu panu.

– Masz na myśli jego mł. . .

– Nie wypowiadaj tego na głos! – ostrzegł Otis. – Tak, jego mł.

Przypomniało mi się, jak w styczniu po raz pierwszy spotkałem boga piorunów. Świetnie się wtedy bawiliśmy: siedzieliśmy przy ognisku i słuchaliśmy, jak Thor pierdzi, rozprawia o swoich ulubionych serialach, pierdzi, narzeka, że zaginął jego młot, którego używał do zabijania olbrzymów i oglądania ulubionych seriali, i znów pierdzi.

– Nadal go nie znalazł? – zapytałem.

Otis zabębnił przednimi kopytami w blat stolika.

– Oficjalnie oczywiście znalazł. Gdyby olbrzymy wiedziały na pewno, że Thor nie ma swojego-wiesz-czego, napadłyby na świąty śmiertelników, niszcząc wszystko, co się da, i napędzając mi strachu że ho, ho! Ale nieoficjalnie... nie. Szukamy od miesięcy i nic. Wrogowie Thora robią się coraz odważniejsi. Wyczuwają słabość. Powiedziałem mojemu psychiatrze, że to przypomina mi czasy, gdy byłem jeszcze koziołkiem w koziej zagrodzie, a dręczyciele przyglądali mi się uważnie. – Otis patrzył w dal zamglonymi żółtymi oczyma o dziwacznie prostokątnych źrenicach. – Myślę, że tak się zaczął mój stres pourazowy.

Wyglądało na to, że następnych kilka godzin powinienem spędzić, rozprawiając z Otisem o jego uczuciach. Jestem jednak okropnym człowiekiem, więc powiedziałem tylko: – Współczuję. – i zmieniłem temat.

– Otis – zagadnąłem – kiedy się ostatnio widzieliśmy, znaleźliśmy Thorowi solidną żelazną łaskę jako zastępczą broń. Nie jest więc zupełnie bezbronna.

– Nie, ale łaska nie jest tak skuteczna jak jego... mł. Nie budzi w olbrzymach aż takiego strachu. A poza tym Thor robi się

marudny, kiedy musi oglądać na niej seriale. Ekran jest malutki, a rozdzielczość okropna. Nie lubię, gdy Thor zrządzi. Trudno mi wtedy znaleźć wewnętrzny spokój.

Coś się tutaj zdecydowanie nie zgadzało. Dlaczego Thor miałby takie trudności z odnalezieniem swojego młota? Jakim cudem zdołałby ukrywać to tak długo przed olbrzymami? Czy ktoś taki jak kozioł naprawdę może znaleźć wewnętrzny spokój?

– Thor chce, żebyśmy mu pomogli. – Wniosek nasuwał się sam.

– Nieoficjalnie.

– Oczywiście, że nieoficjalnie. Będziemy musieli wszyscy nosić trencze i okulary.

– To znakomity pomysł – przytaknął Otis. – W każdym razie powiedziałem walkirii, że będę ją na bieżąco informował, ponieważ, jak sam wiesz, wykonuje dla Odyna... specjalne misje. To pierwsza wiarygodna wskazówka o położeniu naszego obiektu. Mojemu źródłu można ufać. To kozioł, który chodzi do tego samego psychiatry. Podśluchał rozmowę na ten temat na podwórzu w swoim gospodarstwie.

– Chcesz, żebyśmy zbadali trop na podstawie plotki zasłyszanej na podwórzu, którą opowiedziano ci w poczekalni u psychiatry.

– Właśnie tak! – Otis pochylił się tak mocno w moją stronę, że aż się zaniepokoiłem, czy nie spadnie z krzesła. – Musicie jednak zachować wielką ostrożność.

Oj, musiałem się mocno hamować, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Grałem już w złap-piłkę-z-lawy z ognistymi olbrzymami, przelatywałem wraz z orłem nad dachami bostońskich budynków, wyciągnąłem Węża Świata z zatoki Massachusetts i pokonałem kłębkim sznurka Wilka Fenrira. A tu kozioł mówi mi, że mam być ostrożny.



– A więc gdzie jest mł? – zapytałem. – W Jötunheimie? W Niflheimie? W Pierdheimie?

– Droczyś się ze mną. – Okulary zsunęły się Otisowi na pysk. – Ale mł jest rzeczywiście w niebezpiecznym miejscu, tylko że gdzieś indziej. W Provincetown.

– Provincetown – powtórzyłem. – Na końcu półwyspu Cape Cod.

Miałem o tym miejscu niejasne wspomnienia. Mama zabrała mnie tam na weekend latem, kiedy miałem jakieś osiem lat. Pamiętałem plażę, ciagutki, homary i mnóstwo galerii sztuki. Najbardziej niebezpieczną rzeczą, na jaką się tam natknęliśmy, była mewa z zespołem jelita drażliwego.

– W Provincetown jest kopiec. Kopiec upiora. – Otis zniżył głos.

– Ale że co, po prostu tam straszy, tak?

– Nie, nie. Upiór... – Otis zadrżał. – Cóż, upiór to potężna nieumarła istota, która uwielbia kolekcjonować magiczny oręż. Ten akurat mieszka w grobowcu pod kopcem. Przepraszam, trudno mi mówić o upiorach. Przypominają mi o moim ojcu.

Po takim stwierdzeniu aż chciałoby się zadać Otisowi masę pytań o jego dzieciństwo, ale postanowiłem zostawić to jego psychiatrze.

– Czy w Provincetown jest dużo takich siedlisk nieumarłych wikingów? – zapytałem.

– Tylko jedno, z tego co wiem. To i tak o jedno za dużo. Jeżeli nasz obiekt tam jest, bardzo trudno go będzie odzyskać. Jest ukryty pod ziemią i chroniony przez potężną magię. Przyda ci się pomoc przyjaciół: krasnoluda i elfa.

No jasne – gdybym miał chociaż blade pojęcie, gdzie oni się teraz podziewali. Miałem nadzieję, że Sam będzie wiedziała na ten temat więcej ode mnie.

– Dlaczego Thor nie pójdzie do kopca i sam tego nie sprawdzi? – spytałem. – Czekaj, niech zgadnę... Nie chce zwracać

na siebie uwagi. Albo chce nam dać szansę, byśmy mogli wykazać się bohaterstwem. A może to trudne zadanie, a on ma parę seriali do nadrobienia.

– Będę szczery – rzekł Otis. – Właśnie zaczęli nadawać pierwszy sezon *Jessiki Jones*.

To nie wina kozła, powiedziałem sobie. Nie możesz go uderzyć.

– Dobrze – zgodziłem się. – Gdy Sam wróci, ustalimy strategię.

– To chyba nie jest dobry pomysł, żebym czekał na nią z tobą. – Otis zlizął okruch z kłapy płaszcza. – Powinienem wspomnieć o tym wcześniej... Bo wiesz, sądzę, że ktoś... albo coś... mnie śledzi.

Poczułem, że jeżą mi się włoski na karku.

– Czy ten ktoś śledził cię aż tutaj?

– Nie jestem pewien – odparł Otis. – Mam nadzieję, że moje przebranie go zmyliło.

Świetnie, pomyślałem.

Rozejrzałem się po ulicy, jednak nie zauważyłem, aby ktoś przysłuchiwał się naszej rozmowie.

– Przyjrzałeś się dobrze temu komuś czy czemuś?

– Nie – przyznał Otis. – Ale Thor ma mnóstwo wrogów, którzy chętnie powstrzymaliby nas przed odnalezieniem jego mł. Nie chcieliby też, abym dzielił się z tobą tymi informacjami, szczególnie ostatnią. Musisz ostrzec Samirę, że...

*LUP.*

Mieszkając w Walhalli, przywykłem, że od czasu do czasu pojawia się znikąd śmiercionośna broń, ale i tak zaskoczyło mnie, kiedy z owłosionej piersi Otisa nagle wyłonił się topór. Rzuciłem się przez stół, aby mu pomóc. Jako syn Frejra, boga płodności i zdrowia, potrafiłem udzielać magicznej pierwszej pomocy, jeśli było to jeszcze możliwe. Gdy jednak dotknąłem

kozła, wiedziałem od razu, że było za późno. Topór przebił mu serce.

– O rety... – Otis kaszlnął krwią. – Teraz... po prostu... umrę.

Jego głowa odchyliła się do tyłu, a kapelusz potoczył się po chodniku. Kobieta za nami zaczęła krzyczeć, jakby dopiero teraz zauważyła, że Otis nie był słodkim pieskiem, ale – no cóż – martwym kozłem.

Omiotłem spojrzeniem dachy budynków naprzeciwko. Sądząc z kąta, pod jakim utkwiał topór, musiał zostać rzucony mniej więcej z tamtego miejsca... O tak. Spozrzegłem ruch, gdy ktoś ukrył się przed moim wzrokiem – sylwetka ubrana w czerń, w dziwnym metalowym hełmie.

To by było tyle, jeżeli chodzi o picie w spokoju kawy. Ściągnąłem magiczny wisiołek z łańcuszka na szyi i pognałem za zabójcą kóz.